

Tak kiedyś mieszkali Polacy, czyli fotografia socjologiczna Zofii Rydet

## Adoracja chałupy

Czy suma banalnych zdjęć może tworzyć najbardziej niezwykły projekt ostatniego półwiecza? Zofia Rydet pokazała, że tak.

1 artykuł z 10 dostępnych

Nad cyklem „Zapis socjologiczny” Rydet zaczęła pracować w 1978 r., gdy miała blisko 70 lat. Kontynuowała tę pracę niemal do swej śmierci w 1997 r. Przez te niecałe dwie dekady powstało ponad 20 tys. zdjęć, robionych początkowo na Podhalu, a z czasem w całej Polsce, w ponad stu wsiach i miasteczkach. A nawet za granicą: w USA, Niemczech, Czechosłowacji czy na Litwie.

### Zatrzymywanie odchodzącego

Pomysł pozornie był prosty jak budowa cepa: posadzić gospodarzy chałupy (rzadziej mieszkania) pośrodku głównej izby (pokoju) i zrobić im zdjęcie. Ważne było, by nie stroili min i się nie uśmiechali, patrzyli prosto w obiektyw. Autorka stosowała obiektyw szerokokątny, by objąć jak największą powierzchnię i lampę błyskową, by utrwalić jak najwięcej szczegółów. Coś jak zdjęcie legitymacyjne, tyle że w naturalnym otoczeniu.

Miała swoje metody, by ludzie jej nie wyrzucali. Umiejętnie mieszała taktykę miłej, starszej pani i terrorystki, bezwzględnie dążącej do celu. Na przykład metoda na tupet i komplement. Anna Bohdziewicz, też fotograficzka, która towarzyszyła jej w niektórych wyjazdach, wspominała: „Puka, nie czeka, naciska klamkę, staje od razu pośrodku. Podaje rękę: Dzień dobry, my tu do pani idziemy fotografować. Jak tu pięknie!”.

Albo na Jana Pawła II – gdy ktoś się szczególnie opierał: „Ja te zdjęcia robię dla papieża”. Socjotechnika doskonała. Zresztą, kto by wyrzucił z domu mocno zgarbioną staruszkę, która czy deszcz, czy śnieg, czy skwar, zachodziła do najdalszych chałup. Miesiąc po miesiącu, rok po roku.

Ciekawe, że pierwsze kilkadziesiąt lat życia Zofii Rydet nie zwiastowało tak imponujących efektów fotograficznych. A nawet jakichkolwiek efektów. Wprawdzie pochodziła z zamożnej rodziny (ojciec prowadził kancelarię adwokacką w Stanisławowie) i miała ochotę na studia malarskie, lecz ostatecznie – pod naciskiem pragmatycznej rodziny – ukończyła szkołę gospodarstwa wiejskiego w Snopkowie pod Lwowem. Przed wojną zdążyła jeszcze popracować w agencji Orbisu, po wojnie zaś zajęła się prowadzeniem w Bytomiu własnego sklepu z przyborami do pisania. Pierwsze zdjęcia zaczęła robić dopiero ok. 40. roku życia; były to dość sentymentalne portrety dzieci. Do Związku Polskich Artystów Fotografików przyjęto ją w 1962 r., miała wówczas 51 lat. Od tego momentu jej kariera gwałtownie przyspieszyła, jakby Rydet chciała nadrobić utracony czas. Dużo podróżowała, zachłannie fotografowała, wystawiała, wykladała nawet na uczelni. U schyłku życia była już powszechnie szanowaną fotograficzką.

Tytuł „Zapis socjologiczny” wymyśliła nie autorka, ale historyczka sztuki Urszula Czartoryska, która zajęła się pogłębioną analizą tego projektu i przygotowała pierwszą jego wystawę. Trop był dość oczywisty, zważywszy na zawartość. Choć równie dobrze można by mówić o zapisie etnograficznym, antropologiczno-kulturowym. Najmniej o psychologicznym, choć sama Rydet wierzyła, że aranżując w ten sposób zdjęcia, „zatrzymuje jaźń” portretowanego. Dziś najlepiej by mówić o zapisie historycznym, bo zarejestrowany został świat, który praktycznie już nie istnieje.

### Cykle w cyklu

W dorobku Rydet są różne cykle zdjęć. Niektóre sentymentalne, inne romantyczne, a nawet surrealistyczne. Ale z „Zapismem” jest kłopot. Bo czym właściwie jest? Projektem naukowym, czy może paronaukowym? Dokumentacją? Artystyczną wizją? A może wręcz działaniem konceptualnym?

Krytyczka sztuki Dorota Jarecka proponowała kiedyś pojednawczo termin „fotografia dokumentalna z ambicjami artystycznymi”. Z kolei kuratorzy warszawskiej wystawy najchętniej mówią o atlasie; spontanicznym, ale i niedoskonałym, silnie naznaczonym poszukiwaniem, ale i błędzeniem. Warto zwrócić uwagę na fakt, że w swej wizji opowiadania o ludziach i ich życiu poprzez przedmioty, które ich otaczają, odwoływała się nieświadomie do bardzo nowoczesnych praktyk stosowanych przez nauki społeczne.

Fragmety „Zapisu” pokazywano już wielokrotnie, a w ostatnich latach możemy wręcz mówić o potężniejącej modzie na wspomnianie dorobku Rydet. W tym sensie najnowsza wystawa w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej nie jest żadnym odkryciem. Tyle że jej kuratorzy zrezygnowali z utartego schematu ekspozycyjnego obracającego się wokół kilkadziesiątu tych samych fotografii. Postanowili do wystawy zabrać się od podstaw. Przejrzeli więc wszystko, co w ramach cyklu powstało, uważnie przeanalizowali wszelkie notatki, zapiski i listy Zofii Rydet. Dotarli nawet do wsi, które fotografowała, rozmawiali z ich mieszkańcami. I stosownie do skali „Zapisu” przygotowali imponującą ekspozycję. Znalazło się na niej 900 fotografii, w tym 500 odbitek na papierze oraz kolejnych 400 prezentowanych jako pokaz slajdów. W zdecydowanej większości dotychczas niepokazywanych na żadnych wystawach.

Prace prezentowane są tak, jak to wyobrażała sobie sama autorka: wedle tematów. Okazuje się bowiem, że te najsłynniejsze, można rzec kanoniczne fotografie przedstawiające mieszkańców w centralnym miejscu chaty, domu czy mieszkania stanowią zaledwie około jednej czwartej archiwum „Zapisu”. Rydet wprawdzie konsekwentnie kontynuowała ten pomysł, ale też temperament kazał jej stale odkrywać nowe pola obserwacji. I dla nich wszystkich znalazło się w ekspozycji osobne miejsce.

Niektóre są niezłe znane. Na przykład „Kobiety na progach” czy „Obecność”, czyli dokumentacja domowych adoracji Jana Pawła II. Pokazane też zostaną intrygujące „Telewizory” (jako mebel organizujący prywatne życie) oraz fantastyczne „Kuchenne okna”. Nostalgiczne „Ginące zawody” i lekko konceptualny „Mit fotografii” (czyli zdjęcia rodzinnych zdjęć). A także kilka drobniejszych. Rydet bowiem obsesyjnie fotografowała niemal wszystko (łącznie z dziurami w płotach), by następnie szukać w tym bogactwie jakiegoś porządku, systematyki, wątków.

Czy naturalistyczne z założenia i wręcz monotonne w formie fotografie „Zapisu” mogą zaciekać dzisiejszego widza? Nawet bardziej niż tego sprzed 20 lub 30 lat. Po pierwsze, ze względów historycznych. Oto bowiem widz otrzymuje potężną pigułę wizualnej wiedzy o świecie, który choć przecież wcale nie tak odległy czasowo, dziś już należy niemal w całości do przeszłości. Chaty i ich wnętrza, które dominowały w pejzażu wsi polskiej przed 30–40 laty, to dziś wyjątki, osobliwości. Nic dziwnego, że wydawnictwa nie chciały publikować tych zdjęć w formie albumowej; zbyt kontrastowały z oficjalnym, socjalistycznym wizerunkiem modernizującego się społeczeństwa. Pokazywały, że wieś polska, mimo kolektywizacji, reformy rolnej, elektryfikacji i mnóstwa odgórnych reform, potrafiła w dużym stopniu przetrwać w stanie (materialnym, estetycznym, duchowym) niezależnym od tych wszystkich społecznych eksperymentów.

### Atlasy światów

Rydet doskonale utrwaliła świat będący u progu zmian, polską wieś tuż przed rozpadem, który dokona się nie za sprawą socjalistycznej ideologii, ale reguł rynku. Oglądając zdjęcia dzisiejszych rolników w klimatyzowanych ciągnikach po kilkaset tysięcy złotych, trudno uwierzyć, że na oglądanych na wystawie fotografiach być może są ich rodzice i dziadkowie. A nie praprzodkowie. Oba uniwersa są od siebie tak odległe jak gumofilce ze sklepu GS od adidasów z hipermarketu. A czy coś przetrwało? Może manifestacje religijności, choć już nie tak demonstracyjne. Może zamiłowanie do odpustowości. Zapewne pozostało też wiele z ducha tzw. chłopskiej mądrości z jej uporem, zawziętością, hardością, ale i pokorą. Choć tego ze zdjęć można się tylko domyślać.

I wreszcie walory artystyczne. Każde zdjęcie z osobną jest w gruncie rzeczy ciekawostką etnograficzno-kulturową. Ale w masie nagle nabierają wartości dodanej, siły, wagi niebanalnego artystycznego projektu. Wyzute z emocji, pozbawione formalnych eksperymentów, do bólu obiektywne, uderzają w widza czymś innym: autentyzmem, przenikliwością, surową prawdą. Kicz nagle wydaje się godny uwagi, a w twarzach-maskach i hieratycznych pozach zaczynamy dostrzegać psychologiczne niuanse.

Zofia Rydet zrealizowała projekt totalny i oryginalny zarazem. Bardzo ciekawie wypada porównanie jej dorobku ze słynnym wielkim cyklem portretów Niemców, realizowanym między wojnami światowymi przez Augusta Sandera, czy z fotografiami powstałymi w ramach projektu Farm Security Administration, w latach 30. i 40. XX w., a przedstawiającymi amerykańskich mieszkańców wsi. Powstało ich 250 tys., ale na to dzieło pracowało non-stop kilkunastu fotografów.

Ale chyba najbliższemu dorobku Rydet sytuują się zdjęcia, które Chauncey Hare robił zaledwie dekadę wcześniej niż ona, w ramach projektu „Interior America” z fantastycznymi portretami zwykłych ludzi w ich naturalnym, domowym środowisku.

Dziś konwencja fotograficznych atlasów i dokumentowania różnych zjawisk w dłuższych seriach zdjęć jest wśród fotografików niezwykle popularna. Choć trudno powiedzieć, na ile ów trend, to efekt siły i wpływu „Zapisu”. Najbliżej Rydet wypada pomieścić Przemysława Pokryckiego z jego realizowanym od 2005 r. projektem „Rytuły” dokumentującym najważniejsze rodzinne uroczystości: wesela, komunie, chrzty, pogrzeby. Ale w podobnej sferze (realizm + atlas) ułożyć można przecież prace Wojciecha Wilczyka, Mikołaja Groszperre’a czy Konrada Pustoły. A w bardziej kreatywnej wersji – duet Zorka Project.

Zofia Rydet zwykła ponoć o bohaterach swych zdjęć mawiać, że choć ich kiedyś zabraknie, to pozostaną na jej fotografiach. Dziś nie ma już i autorki zdjęć, ale w świecie sztuki zdaje się istnieć w sposób coraz bardziej wyrazisty. A wciąż pozostaje nam jeszcze do przejścia tzw. Pre-Zapis, czyli kolejne, praktycznie niezbadane, kilkadziesiąt tysięcy negatywów z lat 50. i 60. XX w. Zadanie dla armii badaczy: historyków sztuki, kulturoznawców, etnografów, socjologów.

\*\*\*

Zapis, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, wystawa czynna do 10 stycznia 2016 r.